

Wojciech Kaliszewski: Stan martwego lustra

W poezji stanu wojennego, pisanej przez wielkich poetów i przez tych, którzy poetami stali się dopiero tego mroźnego grudniowego poranka, chodziło przede wszystkim o poruszenie wyobraźni i sumień. To była poezja wezwań, elegii, ód, hymnów i pieśni – pisze Wojciech Kaliszewski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Grudzień '81. Wygaszanie Sierpnia”.

Stan wojenny sprzed czterdziestu lat był stanem zamknięcia, unieruchomienia, sparaliżowania i odcięcia Polaków przede wszystkim od poczucia godności i prawa do wolnego decydowania o sobie, odcięcia nas od nas samych. Był stanem perfidnie i po sowiecku zaplanowanego podziału nie tylko w przestrzeni zewnętrznej, społecznej, ale przede wszystkim w wymiarze wewnętrznym, osobowym. Był ingerencją sięgającą w serce i rozum każdego żyjącego wtedy Polaka. Był – miał być – stanem nieustannie podsycanego napięcia i strachu. Taka dawka trucizny, która nie zabija, ale nie pozwala żyć zdrowo i normalnie. Niezwykle trudno rozpoznać i zdiagnozować objawy tak wywołanej choroby. Ma ona wiele postaci, odmian i wariantów. Wydawać by się jednak mogło, że to dramatyczne zdarzenie wzbudzi potężny rezonans w sztuce, że powstanie wielka literatura, poruszająca sumienia, osądzająca, odsłaniająca całe skomplikowane podłoże tak dotkliwie urealnionego zła. Ale nic takiego nie nastąpiło. Po 13 grudnia 1981 r. nie powstały dzieła na miarę *Dziadów* czy *Nie-Boskiej Komedii*. Pisarze próbujący wtedy i później zmierzyć się ze stanem wojennym, jego moralnym i realnym

znaczeniem nie znaleźli mocnej formy, nie stworzyli świata przemawiającego do czytelnika sekwencjami żywych, konkretnych i jednocześnie uniwersalnych obrazów. Po latach widać to bardzo wyraźnie. Stan wojenny nie znalazł – szczególnie w prozie – znaczącego literacko przedstawienia. Pisarze starali się dać świadectwo – jedni, jak na przykład Marek Nowakowski w *Raporcie o stanie wojennym* – prawdzie, ukazując skalę gwałtu dokonanego na społecznej i narodowej suwerenności, inni – jak choćby Roman Bratny w *Roku w trumnie* – starali się ze wszystkich sił uzasadnić i usprawiedliwić potrzebę ingerencji władzy. To tylko skrajne przykłady, wybrane spośród wielu prób, ale stanowią one znaczącą klamrę spinającą różne narracje o stanie wojennym. Przed laty na te niedomagania i ułomności „prozy stanu wojennego” słusznie zwracał uwagę nieżyjący już Tomasz Merta, przybliżając i analizując szereg utworów, w których motyw stanu wojennego był widocznym i kluczowym elementem fabuły. Merta, wśród wielu ciekawych i trafnych wniosków podkreślał niechęć autorów do rozszerzania i pogłębiania sfery psychologicznej bohaterów. „Prawdopodobieństwo psychologiczne – pisał w szkicu *Proza stanu wojennego* opublikowanym później w tomie *Nieodzowność konserwatyzmu* – zastąpione zostało w utworach realistycznych przez inne, doraźne kryterium – zgodności z ludzką pamięcią. Z doraźności, z konieczności natychmiastowego reagowania na wydarzenia wynikała dominacja krótkich form fabularnych oraz powszechne stosowanie zasady *pars pro toto*.”

Oczywiście jest tak, że wielka panorama układa się ostatecznie z drobnych kamyków, z odprysków i fragmentów. Ale nie wolno zapominać, że równie ważna jest jakość i autentyczność owych szczegółów, a także intencja samego twórcy. Proza stanu wojennego balansująca na granicy dokumentu i fabuły nie znalazła dla siebie

niezależnej formuły, gromadząc argumenty i zestawiając zdarzenia nie zdołała uchwycić prawdziwego pulsu zdarzeń, nie wyczuła napięcia czasu, stała się zbyt opisowa i omowna a przez to niedramatyczna i nie do końca autentyczna. Być może nie było to ani łatwe, ani wdzięczne zadanie. Bo przecież cały ten dramat i absurd zarazem stanu wojennego streszczał się w jednym zdaniu nabazgranym na zwykłej kartce „niebieskim mazakiem”: „Na mocy decyzji prezydenta m. st. Warszawy Kongres Kultury został rozwiązany.” Ta kartka niezdarnie nagryzmołona i byle jak przyszpilona do drzwi Teatru Dramatycznego w Warszawie przywitała w mroźny niedzielny poranek 13 grudnia pisarzy i artystów zmierzających na obrady Kongresu Kultury. Za drzwiami widać było milicjantów i ubeków. Tak wspominał ten dzień Jan Józef Szczepański, prezes tamtego, „przedwojennego”, później przez władze także rozwiązanego, Związku Literatów Polskich. Spisał te okruciny w swojej *Kadencji*, dając precyzyjny opis wszystkich wydarzeń, represji władz wobec pisarzy i działań Związku w ich obronie. Ale jest *Kadencja* także opowieścią bardzo osobistą, przyciągająca czytelnika siłą realnych przeżyć autora. Szczepański umiał uchwycić tę atmosferę, tę mieszaninę przerażenia, buntu, niedowierzania, bezsilności i zarazem woli działania. Pisał z bardzo osobistej perspektywy. Natłok zdarzeń, chaos panujący na ulicy, w instytucjach i w domach był jak magma, która przerażała i paraliżowała zdrowy rozsądek. Trzeba pamiętać, że o ile dyndająca na drzwiach kartka była swoistym kuriozum, streszczającym poziom intelektualny ówczesnej władzy, to już wyważanie drzwi do mieszkań, wyciąganie ludzi z domów i aresztowania były rzeczywistym dramatem, który niewiele miał wspólnego z absurdem. Chociaż – i tu chcę jednak absurdalność tych zdarzeń przypomnieć – wojna polsko-jaruzelska natychmiast stała się tematem prześmiewczych, ironicznych i satyrycznych przedstawień. Zazwyczaj była to twórczość spontaniczna, anonimowa, podchwytywana, rozwijana i krążąca w wielu wariantach. Jedno w tym nurcie było niezmiennie i zasadnicze: pogarda dla tchórzliwej,

niesamodzielnej władzy i kpina z tak zwanego aparatu partyjnego, parodiowanie partyjnego i propagandowego języka, wyszydzanie i ośmieszanie milicyjno-esbeckiej mentalności. Uosobieniem i rozpoznawalną kwintesencją tych cech był słynny już wcześniej Towarzysz Szmaciak, postać bezbłędnie oddająca wszystkie ułomności komunistycznych aparatczyków. Autorem tej celnej personifikacji był Janusz Szpotański. 13 grudnia 1981 r. Szmaciaka także obudziło łomotanie w drzwi. Przyszli po niego, ale nie po to, aby go aresztować za wcześniejsze przekręty, kradzieże i malwersacje, tylko po to, by wsparł milicyjne siły w poskramianiu „solidarnościowej ekstremy”:

Wtem go poderwał ostry dzwonek
W drzwi wbija oczy przerażone:
– Już idą po mnie! Ach, dać nogę!
Lecz nie ubrany, jakże mogę?
Po śniegu w gaciach? Nie da rady! –
Dopadły go przeklęte gady!

Choć podłość jest substancją świata,
los czasem miłe figle płata,
bo oto stoi w drzwiach Maczuga
i tak go przyjacielsko ruga:

„Waldek – powiada – ty opoju!
Koniec z tym bajzlem! Czas do boju!
Słuchaj! W dwóch słowach: wojnę mamy!
Ech, zadrzą zbuntowane chamy!

Przypomniałem tutaj nieco dłuższy fragment utworu po to, by w pełni udokumentować, że Szpotański perfekcyjnie, prostymi środkami odsłonił całą nicość moralną, w której żyli i którą żyli z dnia na dzień partyjni towarzysze z Jaruzelskim na czele. Ujawniła partyjna i esbecką bezczelność. Język, styl, wysiłek intelektualny i zachowanie „towarzyszy” uchwycone i przedstawione przez Szpotańskiego stanowiły jednoznaczną i całkowicie rozpoznawalną charakterystykę ówczesnej władzy. Postać Szmaciaka bawiła i zarazem – w szerszej perspektywie – przerażała powszechnością: Szmaciaków można było spotkać wszędzie. A ponadto w tych karykaturach ujawniała się cała bezwzględność, bandytyzm i zbrodniczość tak autorów jak i wykonawców stanu wojennego. Była też druga strona Szmaciakowego wizerunku. Szpotański, rysując obraz zewnętrzny partyjnej władzy, demaskował jej twarz i tym samym – szydząc – ostatecznie obezwładniał. W patrolach ZOMO i ROMO, krążących po 13 grudnia po polskich ulicach widziało się takich właśnie Szmaciaków i to pozwalało nabierać do nich właściwego dystansu. Śmiech był skuteczną samoobroną przed gwałtem i przemocą. Kpiny, rymowane prześmiewcze wierszyki ze sztandarowym hasłem „orła wrona nie pokona”, sięganie do zasobu satyry okupacyjnej – to oczywiste i bardzo wtedy powszechne formy odpowiedzi na oświadczenia, dekryty, przemówienia i zarządzenia partyjnej władzy. To była autentyczna i spontaniczna odpowiedź polskiej ulicy.

Ale nie była to jedyna odpowiedź. Potrzeba głębokiej refleksji i reakcji słownej na stan wojenny ujawniła się przede wszystkim w poezji. Poezja szybciej i głębiej niż proza, zdołała prawdziwie uchwycić i przetworzyć literacko dramat 13 grudnia, rejestrowała przeżycia i doświadczenia jakby bezpośrednio, bez dystansu. Język poezji stawał się w tym procesie wyjątkowym bohaterem – świadkiem – doświadczeń.

*Poezja szybciej i głębiej niż
proza, zdołała prawdziwie
uchwycić i przetworzyć
literacko dramat 13 grudnia,
rejestrowała przeżycia i
doświadczenia jakby
bezpośrednio*

To była poezja
uczestnicząca,
działająca. Poezja ma
– o czym trzeba
także pamiętać –
moc pozwalającą na
kondensację
obrazów. Jej
metafory i
metonimie –
szczególnie te drugie
– ułatwiają

przedstawianie naprawdę poruszających i wstrząsających przesłań. A w poezji stanu wojennego, pisanej przez wielkich poetów i przez tych, którzy poetami stali się dopiero tego mroźnego grudniowego poranka, chodziło przede wszystkim o poruszenie wyobraźni i sumień. To była poezja o rodowodzie tyrtejskim, psalmicznym, religijnym, moralnym, sięgająca do tradycji klasycznych i romantycznych, przywołująca polskie zrywy niepodległościowe, powstania i wzorce osobowe. To była poezja wezwań, elegii, ód, hymnów i pieśni. Czasami wystarczyło kilka fraz, znaczących słów, aluzji i powstawał wiersz zdolny udźwignąć ciężar zbiorowych emocji:

Kobieta odwraca lustro
twarzą do ściany: w ścianie
odbija się martwy śnieg,
chrzęści pod podkutymi butami.
Ogień krzepnie.
Nicość nakłada bagnety.

To wiersz Ryszarda Krynickiego *Twarzą do ściany* napisany w grudniu 81 roku. W sześciu wersach Krynicki zapisał całość tego, co się wydarzyło i co trwało. Odtworzył napięcie, grozę i przerażenie. Dalekie, cytatem, przywołane echo kolędy potęguje emocje i wzmacnia poczucie bezsiły. Świat na Wisłą wypełnia noc, pustka. Tak wyglądał martwy, obcy świat, w którym „dyktator i zdrajca,/gotowi nadal okupować kraj/więzić niewinnych,/zabijać bezbronnych,” i deptać „podkutymi butami.”. Wersy układały się jakby same. Brzmia twardo, głucho, ale są jasne. Poezja stanu wojennego była jednoznaczną odpowiedzią na przewrotną propagandę gazet, radia i telewizji.

Do największej tragedii doszło 16 grudnia w kopalni „Wujek” .
Zomowskie kule zabiły 9 górników, a ponad dwudziestu raniły:

Patrz, a tamtej koszuli w kratę
nie zdążyłam ci nawet uprać –
była matka i ksiądz z parafii –
cielęcinę miałam na jutro –

Święta idą – a wiesz, w Chorzowie
zatrzymałam dla ciebie prezent –
takie czarne rękawiczki skórkowe –
O Jezu, Jezu

Jak o tym, co stało się w „Wujku”, opowiedzieć? Ten wiersz, zatytułowany *Pierwszy* otwiera cykl ogłoszonych anonimowo – autorem był Michał Jagiełło – wierszy poświęconych zamordowanemu.

Pozostają tylko proste zdania, myśli, fragmenty tego, co chaotycznie kłębiło się w głowach przerażonych ludzi. Inaczej nie można. Ale ten tak prosto napisany elegijny i żałobny cykl mówił wtedy wszystko.

Stan wojenny był czasem próby. Brzmi to trochę oficjalnie. Ale tak było. Było tak ja pisał w *Raporcie z oblężonego miasta* Zbigniew Herbert:

patrzemy w twarz głodu twarz ognia twarz śmierci
najgorszą ze wszystkich – twarz zdrady

i tylko sny nasze nie zostały upokorzone

Wojciech Kaliszewski



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczności Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 - 2030

